Nr. 40. Poznań, niedziela 4-go października 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** Podgórna ul. Nr. 7. w podwórzu.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w **Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Podgórna Nr. 7. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego. **Pojedyńczy numer:** w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen. **Rękopisów drobnych niezwracamy.**

TREŚĆ.

Fakty z życia ekonomicznego.

I.

Spekulacya.

Rozwój ekonomiczny przy kapitalistycznym ustroju nie jest stały i równomierny, lecz posuwa się skokami, posuwa się w ten sposób, że peryody zastoju przemysłowego szeregują się z peryodami szybkiego postępu. Po mistrzowsku charakteryzuje ten proces Fryderyk Engels: „Od roku 1825, kiedy nastał pierwszy ogólny kryzys, cały świat przemysłowy i handlowy, produkcya i wymiana wszystkich cywilizowanych narodów z ich mniej lub więcej barbarzyńskiemi satelitami, wychodzi co lat dziesięć z klubów. Interesa idą źle, rynki są przepełnione, produkty nagromadzają się i nie znajdują odbytu, gotówka znika, kredyt ustaje, fabryki zawieszają czynność, masy pracujące nie mają pożywienia, gdyż wyprodukowały zbyt dużo pożywienia, bankructwo idzie za bankructwem, licytacya przymusowa za licytacyą. Lata całe trwa zastój, siły produkcyjne i produkty trwonią się masami i niszczeją, dopóki powoli nagromadzone masy towarów, ubezwartościowione mniej lub więcej nie rozejdą się nareszcie, dopóki produkcya i zamiana stopniowo nie ruszą się ponownie. Wówczas bieg raz po raz zostaje przyspieszony, przemysłowy kłus przechodzi w galop, a ten wzmaga się do wściekłego pędu przemysłowego, handlowego, kredytowego i spekulacyjnego steeple — chase, który w końcu po karkołomnych skokach wali się — do rowu krachu. I tak zawsze ab novo. Nd roku 1825 przeżyliśmy taki cykl pięć razy i w tej chwili (w r. 1877!) przeżywamy go po raz szósty“*)

*) Herrn Eugen Dührings Umwälzung der Wissenschaft von Friedrich Engels.

Charakterystyka była świetna, ale Engels omylił się co do przyszłości. Od roku bowiem 1876 ruch zmienił charakter: minęło lat dziesięć, piętnaście i zawsze jeszcze kryzys nie mijał, stosunki nie polepszały się, rynek nie chciał „przyjść do siebie“. Zdawało się, że choroba stała się chroniczną, że społeczeństwa cywilizowane uległy raz na zawsze chorobie „przetłuszczenia“, że produkcya kuleje w skutek hyperprodukcyi, że nędza i zubożenie zapanują wskutek nadmiaru produktów. Wprawdzie miały miejsce lokalne polepszenia, tu lub tam robiono „dobry interes“, ale były to tylko drobne wyjątki. Nietylko galop ogólny nie zaczynał się, nawet truchcik powolny nie chciał przejść w kłus przyzwoity. Budowa jakiej nowej kolei, zdobycie jakiego rynku zamorskiego na chwilę elektryzowało świat przemysłowy, ale subskrypcye na nowe akcye zostały pokryte w dziesięćkroć, rynek został przeładowany w mgnieniu oka, i znów cisza, zastój, stagnacya.

Czegośmy nie dożyli przez ten czas. Jakich dziwacznych pomysłów, a co gorsza, czynów, stał się powodem ten zastój. Reakcya na całej linii wzmogła się, agrarczycy zaczęli frondę i otoczyli kraje chińskim murem cłowym, zwolennicy starych, dobrych czasów myśleli niemal o zakazie budowania fabryk o motorach parowych i chcieli powrócić do czasów świątobliwej a statecznej produkcyi rzemieślniczej; kupcy małomiasteczkowi i agrarczycy dopóty zrzędzili na giełdę, dopóki nie udało im się przeprowadzić tu i owdzie pewnych przepisów krępujących giełdy, co jest przedsięwzięciem równie roztropnem, jak leczenie symptomatów zamiast choroby samej; zwolennicy powagi mężowskiej w rodzinie chcieli usunąć wszelką pracę kobiecą i powrócić kobietę „do ogniska rodzinnego“, tylko, niestety, przy ognisku tem nie było pod co drzewek nałożyć.

Wraz z tą wstecznością na polu ekonomicznem, spowodowaną ślimaczeniem się życia ekonomicznego, zaczęła się też reakcya polityczna na całej linii, jak to się zdarza zwykle, kiedy strach wielkooki przed groźnemi potęgami odbiera rozum. W Niemczech szczytem tej reakcyi był projekt osławionej „ustawy przewrotowej“, we Francyi rozpanoszenie się klerykalizmu i przyjaźń franko-ruska, a w całym świecie przewaga polityczna Rosyi. Jednakże koło historyi wstecz nie daje się kręcić. Właśnie podczas stagnacyi odbyła się tem gwałtowniejsza koncentracya kapitałów, tem energiczniejsze duszenie mniej silnych ekonomicznie; właśnie wtedy powstały nowe organizacye ekonomiczne, jak trusty, syndykaty, kartele; giełda bynajmniej nie utraciła na znaczeniu, ale wzrosła w potęgę, bo wobec trudnych warunków finansowych rozwinął się raczej szczyt urządzeń obiegowych w ustroju kapitalistycznym, system bankowy i kompensacyjny, który nie może obyć się bez giełdy, jak maszyna parowa nie może się obyć bez koła rozpędowego; kobietę wir wypadków coraz więcej wyrywa z partykularza rodzinnego i rzuca w zamęt walki ekonomicznej, tak, że właśnie w czasie zastoju rugować zaczęła mężczyznę z zajmowanych dotąd niepodzielnie dziedzin zarobkowania. A z drugiej strony klasa robotnicza musiała, broniąc się w obec strasznego położenia ekonomicznego, stać się agresywną.

Właśnie w czasie ogólnego Debacle powstały we wszystkich krajach zwarte, karne, świadome celu partye polityczne robotnicze. Krępowano je prawami wyjątkowemi, prześladowano ekonomicznie ich członków, puszczono w ruch cały aparat międzynarodowej polityki z gromadami szpiegów i prowokatorów, rzucano w końcu okruchy „praw opiekuńczych“. Nic nie pomogło: prawa opiekuńcze okazały się niedostateczne i dowiodły tylko niemożliwości zażegnania klęsk społecznych przestarzałym aparatem dobroczynności, choćby państwowej; prawa wyjątkowe okazały się dzieciństwem, policyjne represye strachem na wróble. Partye robotnicze skupiły się, zmężniały, przebyły próbę ogniową.

Tak więc po szeregu lat depresyi ekonomicznej, a co zatem idzie skowytu, pisku, łajania i zrządzenia reakcyjnego, stają naprzeciw siebie dwie potęgi nowożytne, wzmocnione i gotowe do zapasów: wielki kapitał i klasa robotnicza. Co stało pomiędzy niemi — cały ten tłum nieokreślonych egzystencyi drobnomieszczańskich, tłum takich, co nie są ani psem ni wydrą, którzy jednakże dotąd tworzyli jakby pokład ochraniający, jakby wał napiętrzony pomiędzy dwiema armiami, jakby środowisko neutralne, — ten żywioł został podkopany, osłabiony ekonomicznie i politycznie. Nowy okres rozwoju zastanie owe dwie potęgi bardziej wzmocnione, bardziej świadome swego wzajemnego antagonizmu. Prawdopodobnem więc jest, że początek nowego okresu ożywienia, początek owego „steeple-chase“ ekonomicznego, będzie tym razem jednocześnie okresem gwałtownego zmagania się tych dwóch żywiołów.

Okres zaś ten rozpoczał się już. Sygnalizowano go jeszcze pod koniec roku 1893, a teraz widzimy przed sobą wszystkie symptomaty ożywienia przemysłowego. Zdaje się jednakże, że tym razem przebieg nie będzie typowym, kłus nie będzie wzrastał stopniowo, ale od razu przejdzie w karkołomne „ventre à terre“. Nie było by w tem nic dziwnego. Kotły zostały przegrzane w ciągu lat piętnastu, nie dziw więc,

że maszyny ruszyły całą siłą pary; spekulacya międzynarodowa zbyt długo zgrzytała zębami, jak wilczyca zgłodniała, zbyt długo czuła czczość w trzewiach, żeby teraz nie miała rzucić się na żer łapczywie. Ona też zaczęła taniec, a po niej dopiero stopniowo przychodzi kolej na przemysł.

Spekulacya giełdowa zaczęła się na rynku „kafrów“ w Londynie, to jest w zakątku giełdy, gdzie handlują akcyami afrykańskich i australijskich kopalni złota. Są to typowe papiery spekulacyjne: zostają umyślnie wydawane w małych udziałach po 1 Ł., wartość ich zmienia się z każdą nowo odkrytą żyłą, z każdym okrętem kruszcu wyprawionym do Londynu. Poczęły one skakać w roku 1894; podwyżki kursu o 100, 200, 300 prct. nie należą do wyjątków. Stare kompanie górnicze powiększają kapitały zakładowe, nowe przedsiębiorstwa rosną w Transwalu jak grzyby po deszczu. Giełda londyńska pożera wszystkie nowe emisye; przestała być wybredną. Z Londynu gorączka przenosi się do Paryża. „Tout Paris“ spekuluje dziś na „afrykanach“, a nawet ostrożni niemcy dali się skusić. Czy długo będą się gracze cieszyli tą zabawką? „Qui vivra verra!“ Sądzimy, że akcye dosyć długo utrzymają się. Kurs wprawdzie jest sztuczny, bo chociaż wydajność kopalni wzrosła wprawdzie olbrzymio — 20, 30, 50%₀ — to przecież nie w tym stosunku co kursy, jednakże może się trzymać rok, dwa i trzy, jeżeli nic nie zajdzie nadzwyczajnego i bardzo ważnego (nawet awantura zatargu transwalsko-angielskiego nie zdołała na stałe obniżyć kursów). Pewnego pięknego poranku zacznie się zapewne rwetes u „kafrów“ a wtedy nastanie degrengolada straszna. Ale, jak powiedziałem, do tego jeszcze daleko, więc tymczasem można hulać. ktoś przecież w końcu rachunek zapłaci.

„Shary“ (jak zwą akcye kopalni złota) nie pochłonęły przecież wszystkiej gotówki. Zostało jeszcze na chińską pożyczkę — tu już zagrała „haute finance“, która nie tak łapczywie angażuje się w „kafrach“, — oraz na rosyjską pożyczkę 400 milionów franków, która zdaje się była tylko próbą dla wymacania, czy rynek zechce przyjąć grubszą dawkę w przyszłości bliskiej. Ulokowano ją bardzo korzystnie, za co pan Rotszyld dostał teraz order orła białego od cara. To były wielkie festyny giełdy, ale nie gardzi ona też małym ochłapem: spekulacya w lot chwyta papiery przemysłowe i kolejowe. W ostatnich czasach szczególnie kwitną akcye fabryk maszyn, a to znak bardzo pomyślny. Skoro bowiem te fabryki cieszą się powodzeniem, znaczy to, że i ich kundmani, fabrykanci wyrobów, przeznaczonych na konsumcyę, mogą rozszerzać zakłady, a skoro tak, zarabia kupiec itd. A ponieważ giełda, na którą można rzucać gromy oburzenia ile tylko się podoba, ma jednę bardzo ważną zaletę — nos, którym czuje co się dzieje, — więc można zaufać, że „interes idzie“ i w najbliższej przyszłości będzie szedł. Nie znaczy to wprawdzie, aby od czasu do czasu nie zdarzały się na giełdzie „kawały“. Toż nie tak dawno z Wiednia „zalatywało trupem“ i mały krach był tuż, tuż nad karkiem, ale takie drobnostki teraz giełdy nie deranżują, jest co się zowie w „sztosie“ i gdyby Turek — ten „chory człowiek“ — dziś zapragnął pieniędzy, kto wie, czyby giełda nie zamknęła oczu na jego bezeceństwa i nie dała kilka set marnych milionów. Humor jej bowiem jest teraz aż nazbyt dobry, tak, że nawet The bank of England, owa opatrzność do której się modli złota międzynarodówka, musiała rzec słówko upomnienia. Jak wiadomo, giełda „pracuje“ — żargon giełdziarski akceptując to słówko dla operacyi spekulacyjnych, dokonał wprost chef d'oeuvre hipokryzyi i blagi bezczelnej, o którą przecież nie trudno dziś w Europie — pracuje nietylko własną gotówką, ale również pieniędzmi spokojnych obywateli, którzy takowe składają w banku, więc bank angielski, który lubi interes, ale nie lubi wybryków, widział się zmuszonym dla okiełznania swej dziatwy podwyższyć dyskonto do $2^1/_2$ a potem 24-go z. m. 3%. Taki prysznic może podziałać tylko zbawiennie, ale zupełnie nie wstrzyma spekulacyi. Nawet za taką cenę warto dyskontować dziś i robić obroty. Gdyby nawet na wyżynach spekulacyi chciano cokolwiek zwolnić tępo, nie uda się to. Dziś bowiem spekuluje nie tylko Londyn, Paryż, Berlin. Nawet taka Warszawka poczciwa rzuca „Lilpopami“ i „Starachowicami“ jak piłką; nawet taki filisterski Zürich spekuluje na place budowlane, dopóki sobie palców nie poparzy; Łódź już sobie poparzyła i może ocierać łzy chustkami Szeiblerowskiemi; Kopenhaga i Krystyjania, Sophia i Białygród bawią się jak mogą. Nie ręczę nawet za Pacanów i Ryczywół. Wobec tego więc opatrzność londyńska może sobie trąbić na odwrót zdrowa, wyżyny zostaną popchnięte przez niziny i muszą iść dalej niżby nieraz chciały i niż nakazuje rozwaga.

Oj te niziny! Nie wiedzą co robią niebożęta, jak ćmy idą same do świecy. Niziny nazywam tu owych drobnych graczy na giełdzie, których jest więcej daleko niż zwykle przypuszczają. Są to właśnie ludzie owej średniej warstwy, o której wspomniałem. Taki poczciwiec we Francyi lub Niemczech słysząc o złotym deszczu, który począł padać, skwapliwie podstawia swój garnuszek, chcąc też coś nałowić. Wygrzebuje więc grosiwo i niesie na rynek, a nie wie, że siebie zarzyna. Poczciwiec taki bowiem ma zwykle rezerwę w papierach państwowych, tymczasem Miquel'owie tylko czyhali na pokazanie się pieniędzy i wnet zarządzili konwersye z pożyczki państwowej z $4^1/_2$ do 4 i do $3^1/_2$ %, a teraz nasz poczciwiec naturalnie będzie klął los zawistny. Za to śmieją się panowie z „Bund der Landwirte“, bo z obniżeniem stopy procentowej i oni będą mniej płacili od hipotek, a wskutek tego powoli, powoli zacznie narastać znów renta, a z nią cena majątków, bo lokacya w ziemi znów stanie się korzystną. Tak to zawsze jednemu płacz, drugiemu śmiech. Charakterystycznem jednakże, że najczęściej płaczą owi średni. Ci płaczą bowiem teraz, a więcej płakać będą w dzień sądu, kiedy „haute finance“ dzięki „nosowi“ giełdy, wycofa się już, zebrawszy śmietankę.

Nie ulega bowiem kwestyi, że ów karkołomny bieg spekulacyjny skończy się znów tam, gdzie wykazał stary Engels — w rowie krachu, gdzie cała ta czereda zapamiętała będzie tarzała się w kale, niechlujstwie i sprosności bankructw podstępnych, oszustw i ruiny, gdzie będzie płacz i zgrzytanie zębów. Ta chwila nadejdzie z pewnością, ale może, zwłaszcza tym razem, nadejść nie prędko, bo, jak powiedzieliśmy, przez długie lata

---

Artur Schnitzler.

POŻEGNANIE.

NOWELLA.

Czekał już od godziny. Serce mu biło i chwilami zdawało się, że mu oddechu zabraknie; wówczas wciągał powietrze głębokiem westchnieniem, ale to mu nie przynosiło ulgi. Właściwie mógł się do tego przyzwyczaić, bo zwykle bywało tak samo, zwyklę musiał czekać godzinę, dwie, trzy, często napróżno. A on nie mógł jej z tego robić wyrzutów, ponieważ nie odważała się wyjść, gdy mąż dłużej pozostawał w domu; dopiero, gdy on wyszedł, przybiegała pośpiesznie, zrozpaczona, złożyła połacunek na jego ustach i wnet śpieszyła napowrót, zbiegała po schodach i pozostawiała go znowu samego.

Wówczas, gdy już odeszła, kładł się na kanapie, wyczerpany tem okropnem wyczekiwaniem, które go czyniło niezdolnym do żadnej pracy, które go powoli niszczyło.

Ciągnęło się to od kwartału dopiero, od końca wiosny. Co dzień od trzeciej godziny oczekiwał ją w swym pokoju, przy zapuszczonych roletach i nie mógł niczem się zająć, nie miał cierpliwości przeczytać książki, nawet żadnego pisma, nie był w stanie napisać listu; palił tylko papierosy, jeden po drugim, tak, że pokój cały zapełniały sinawe obłoki. Drzwi od przedpokoju były zawsze otwarte; był sam w całem mieszkaniu, służący nie mógł być obecnym, gdy ona przyjść miała; a kiedy nagle zadźwięczał dzwonek, zawsze się zrywał, jakby przestraszony.

Gdy to ona była, gdy to o n a była rzeczywiście, wtedy już było dobrze! Czuł się wówczas swobodnym, jak gdyby otworzono bramy jego więzienia, stawał się napowrót człowiekiem; często nawet płakał ze szczęścia, że już jest przy nim i że nie potrzebuje więcej czekać na nią. Szybko prowadził ją do pokoju, zamykał drzwi i byli bardzo szczęśliwi.

Umówionem było, żeby codziennie zostawał w domu do siódmej; później mogła już nie przychodzić — wyraźnie jej to powiedział, że po siódmej musi wyjść, gdyż oczekiwanie rozstrajało go zbytnio. A jednak zostawał zwykle dłużej w domu i zaledwie o ósmej wychodził na ulicę. Wówczas żałował straconych napróżno godzin i wspominał z żalem o przeszłem lecie, gdy rozporządzał swym czasem całkowicie, gdy często spędzał popołudnie za miastem, w sierpniu już wyjeżdżał nad morze, gdy był wesoły i szczęśliwy i tęsknił za swobodą, za podróżą, za samotnością, jednak nie mógł jej odjechać, gdyż ją ubóstwiał.

Dzisiejszy dzień wydawał mu się najnieznośniejszym. Wczoraj nie przyszła wcale i nie miał od niej żadnej wiadomości. Zbliżała się siódma, lecz niepokój nie ustępował; nie wiedział, co ma począć. Najokropniejszem było to, że nie mógł się z nią porozumieć w żaden sposób. Nic innego nie mógł uczynić, jak tylko iść pod jej dom i chodzić tam i na powrót pod oknami; ale nie śmiał zajść do niej, nie śmiał nawet u nikogo zasięgnąć wiadomości. Nikt bowiem nie przypuszczał, że się znają. Uczucie ich było tak gwałtowne, gorączkowe, niespokojne, że się mogli zdradzić jednem spojrzeniem. Na szczęście tak się złożyło, że ich stosunek trwał w najgłębszej tajemnicy; lecz takie dni, jak dzisiejszy, były tembardziej męczące.

Wybiła ósma — nie przyszła. Przez ostatnią godzinę stał nieruchomie pode drzwiami, wyzierając ciągle przez okienko na kurytarz. Właśnie zapalono w tej chwili gaz na schodach. Wrócił do pokoju i zmęczony śmiertelnie rzucił się na kanapę. W pokoju było całkiem ciemno; zdrzemnął się. Po półgodzinie zerwał się i postanowił wyjść. Czuł ból w głowie i w nogach, jakby po długiem chodzeniu.

Poszedł w stronę jej domu. Było to dla niego uspokojeniem, gdy zobaczył spuszczone rolety we wszystkich oknach. Tylko w jadalnym i sypialnym świeciło się trochę.

nagromadzone paliwo pozwala jechać całą siłą pary i jechać długo; tylko, że się wtedy wpada głębiej i gwałtowniej.

Skąd więc takie rozhukanie giełdy? Czy jest to wykwit tak sztuczny, jak w swoim czasie np. warjacka spekulacya na tulipany w Amsterdamie, lub szwindel genialnego Law w Paryżu? Nie sądzimy. Giełda przesadza, to nie ulega kwestyi, bo giełda zawsze jest nerwową, a teraz długie lata wstrzemięźliwości doprowadziły ją do histeryi po prostu. Ale giełda ma też powody, jak rzekliśmy, do pewnych nadziei. Położenie ekonomiczne zaczęło się zmieniać ku lepszemu, warunki produkcyi, będące podstawą ruchu ekonomicznego, zaczęły wchodzić w okres pomyślny. Widzimy to przedewszystkiem po dywidendach jakie płacono od akcyi fabrycznych, kopalniowych i kolejowych. Były one już niezłe w roku 1894, a w 1895 dosięgły takiej wysokości, jakiej nie miały od bardzo dawna. — Wszędzie możemy czytać o nowo powstających zakładach, lub powiększaniu istniejących. Zewsząd dochodzą wieści o obstalunkach, a nawet, co się już od lat nie zdarzało, fabryki odmawiają nowych zleceń, gdyż są zaopatrzone w robotę na całe miesiące. — Ceny podnoszą się też, jakkolwiek nie tak szybko. Wyjaśnia się to tem, że zawsze jeszcze potrosze oddziaływają niezupełnie zepchnięte zapasy z lat dawnych. W każdym jednak razie, rozpaczliwie jednostajne do niedawna brzmienie „kurszetli“: „usposobienie słabe, przy cenach zniżkowych“, zaczyna raz w raz przybierać bardziej wesołą dla producentów nutę: „usposobienie mocne, przy cenach stałych“, a nawet „przy cenach zwyżkowych“. Nie znaczy to wprawdzie, abyśmy doszli znów do cen z lat siedmdziesiątych. Sądzę, że pozostaniemy niżej cokolwiek, gdyż takim jest rozwój, że produkcya zmuszona stosować się do cen niższych w czasie przesilenia, nie dochodzi potem do cen dawnych, z tej po prostu przyczyny, że wartość społeczna produktu zmniejszyła się, produkuje się taniej, a konkurencya nie dopuszcza potem do nadmiernej zwyżki. W każdym razie o tem, że weśliśmy w porę ożywienia przemysłowego, świadczy fakt, że wywóz i przywóz powiększył się we wszystkich państwach europejskich bardzo, ale to bardzo znacznie w roku ostatnim. Nie chcąc nużyć cyframi podaję takowe tylko dla Niemiec: przywóz w roku 1894 — 3938 milioów marek, w roku 1895 — 4092; wywóz w r. 1894 — 2961, w r. 1895 — 3311. A więc wywóz powiększył się o 12 proc. w jednym roku! To fakt dotąd niebywały, Tak samo ma się rzecz w innych krajach.

Ale to tylko początek. Jeżeli wszelkie przewidywania nie zawodzą, to rozwój najbliższych lat będzie olbrzymi. Jakie są te przewidywania i z jakich przyczyn zaczął się peryod ożywienia o tem w przyszłym artykule.

J. B. M.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Jak optymistycznie nieraz zapatrują się niektórzy korespondenci na nasze stosunki, pokazuje się z korespondencyi poznańskiej do „K r a j u“.

Mało jest takich. którzy przypuszczają, iż „opodatkowanie“ hakatystycznym żywiołom niemieckim się „uprzykrzy;“ nikt nie może nam wymienić tych „najmajętniejszych“ i „najpoważniejszych“, (z wyjątkiem jednego), którzy powystępowali z towarzystwa hakatystowskiego z poczucia sprawiedliwości, a już trzeba nadzwyczaj różowo spoglądać w przyszłość, skoro się sądzi, iż „koła decydujące“ zaczynają zdawać sobie sprawę z niebezpiecznych skutków działań szowinistycznych.

Korespondent ów tak o tem pisze:

„Na wszystkie takie imprezy i zachcianki hakatyści potrzebują dużo pieniędzy i dlatego agitują po całych Niemczech, zakładają wszędzie stowarzyszenia filialne, żeby jaknajwięcej składek ściągać. Organ hakatystowski „Ostmark“ podaje statystykę najświeższą swych gniazd filialnych; w Berlinie antypolskie stowarzyszenie ma 1,087 członków, w Hamburgu 263, w Dortmundzie 253, we Wrocławiu 150 i t. d. Charakterystycznym objawem kulturnictwa niemieckiego jest to, że w spisie owym jest 9 miast uniwersyteckich, w których profesorowie uniwersytetów są głównymi agitatorami rasowej nienawiści między obywatelami jednego państwa.

Należy przypuszczać, że to uczucie, a głównie opodatkowanie „patryotycznych“ żywiołów niemieckich na ccie antypolskie uprzykrzy się w końcu, i wówczas, może już niedługo, kasa pp. hakatystów znajdzie się w takiem położeniu, że ciężarowi swych zobowiązań podołać nie będzie w stanie. Już teraz w Księstwie najpoważniejsi i najmajętniejsi obywatele (z wyjątkiem p. Kennemana) powystępowali z towarzystwa hakatystowskiego, a zrobili to nie dlatego, żeby byli złymi patryotami niemieckimi, ani też przez skąpstwo, ale dlatego, że wiedzą, jak niebezpiecznem dla państwa i cywilizacyi są owoce agitacyi hakatystowskiej, rozbudzającej w rezultacie tylko nizkie w obu walczących obozach namiętności. Rozumieją oni to, że „kto wiatr sieje, ten zbiera burzę“. Jeszcze ważniejszym objawem reakcyi jest okoliczność, że i w kołach decydujących zaczynają sobie zdawać sprawę z niebezpieczeństw, jakie zrodzić się muszą na gruncie obustronnego drażnienia namiętności szowinistycznych niemieckich i polskich. I jakże być może inaczej, kiedy „Posener Tageblatt“, pismo, uchodzące za organ półurzędowy, niepośledni udział bierze w obławie na polaków? Wprowadza ono poprostu w błąd wszystkich urzędników, którzy, czytając to pismo z obowiązku, sądzą, że heca antypolska jest nietylko usprawiedliwioną, ale i nanakazaną z góry, jeżeli półurzędowy organ ją popiera z całym cynizmem. To też w ostatnich czasach. zwłaszcza w kołach urzędników podrzędniejszych, t. zw. subalternów, zdarzały się wybryki niesłychane: niedawno usunięto inspektora szkolnego za sztuczki

---

Przechadzał się półgodziny po przeciwległym chodniku ze wzrokiem utkwionym w jej okna. Ulica była mało ożywiona. Dopiero gdy zobaczył służącą i stróżkę rozmawiające przed bramą, oddalił się, aby nie zwrócić na siebie uwagi. Tej nocy spał dobrze i mocno.

Następnego rana leżał długo w łóżku; nakazał służącemu, aby go nie budzono. O dziesiątej zadzwonił. Służący przyniósł śniadanie; na tacy znajdowały się nadeszłe listy; od niej nie było żadnego. Zaraz sobie pomyślał, że tem pewniej po południu u niego będzie i czas przeszedł mu spokojnie do trzeciej.

Punkt o trzeciej, lecz nie wcześniej, wrócił z obiadu do domu. Usiadł na krześle w przedpokoju, aby nie chodzić ciągle tam i napowrót, nasłuchując szelestu na schodach. Za każdym krokiem, posłyszanym w sieni, nowa nadzieja wstępowała w niego, lecz każda była zwodniczą.

Wybiła czwarta, piąta, szósta, siódma — nie przychodziła. Biegał po pokoju, nasłuchując, był blizkim omdlenia; rzucił się więc na łóżko. Był zrozpaczony zupełnie; to już było nie do zniesienia — mówił sobie: „dość tego — to szczęście kosztuje zbyt drogo!...“ Albo musi zaprowadzić zmianę — odtąd będzie czekał tylko godzinę, lub dwie, lecz tak nie może dłużej pozostać, bo inaczej wszystko w nim zamrze, energia do pracy i zdrowie, a w końcu i miłość. Spostrzegł, że o niej w ogóle nie myślał wcale; myśli jego wirowały w jakimś sennym ogromie. Zeskoczył z łóżka.

Otworzył okno i wyjrzał na ulicę, którą zalegał zmrok... Ach... tam... tam na rogu... w każdej kobiecie zdawał się ją poznawać. Odszedł od okna; już przecie nie mogła przyjść — zapóźno było. I przyszło mu na myśl, jak nierozsądnym był, przeznaczając tych kilka godzin, jedynie na oczekiwanie. Może właśnie teraz miałaby sposobność... może dziś przed południem mogła przyjść i już miał na ustach to, co jej następnym razem miał powiedzieć, szepcząc półgłosem: „Teraz przez cały dzień będę cię oczekiwać: od rana do nocy“. Lecz zaledwie to wymówił, zaczął się sam śmiać i znów mówił do siebie: „odchodzę od zmysłów, odchodzę od zmysłów!“

Znów pobiegł w kierunku jej mieszkania. Wszystko było, jak wczoraj. Światło przezierało przez zapuszczone rolety. Znów spacerował pół godziny po przeciwległym chodniku, i znów oddalił się, gdy stróżka i jakaś służąca wyszły przed bramę. Zdawało mu się, że one patrzą za nim i był przekonany, że drwią z niego: „Patrzcie, to ten sam, co wczoraj o tej porze łaził pod oknami!...“ Chodził po przybocznych ulicach, a gdy dziesiąta wybiła na wieży i bramy zamknięto, wrócił, wrócił i wpatrywał się w okna. Tylko w ostatnich, gdzie była sypialnia, świeciło się. Patrzał tam, jak zaklęty. Stał tak bezradny i nie wiedział, co ma począć, ani kogo zapytać.

— Dreszcz go przeszedł na myśl o następnych godzinach oczekiwania. Noc, rano, całe południe do trzeciej... Tak, do trzeciej... a potem... jeżeli znowu nie przyjdzie?... Skinął na przejeżdżającego fiakra i kazał się obwozić po przyległych ulicach... Przypomniał sobie ostatnie z nią chwile spędzone... Nie, nie, nie przestała go kochać — to z pewnością, nie! — A może domyślano się czego w domu?... nie, to też było niemożliwem i żadne podejrzenie nie padło na nich dotychczas, a ona była tak ostrożną. Tylko jeden powód mógł istnieć: była słabą i leżała w łóżku. Z tego też powodu nie mogła go zawiadomić... A jutro pewnie wstanie i przedewszystkiem napisze parę słów, aby go uspokoić... Tak, lecz jeżeli dopiero za dwa dni lub później będzie mogła opuścić łóżko... jeżeli naprawdę jest chorą... Jezu!... jeżeli ona jest ciężko chorą?... Nie, nie, nie... Dlaczegoż zaraz ma być ciężko chorą!...

Nagle błysnęła mu myśl, jak zbawienie. Ponieważ jest chorą naprawdę, może posłać jutro do niej, zapytując o zdrowie. Posłaniec nie potrzebuje wiedzieć od kogo pochodzi zlecenie — może zapomnieć nazwiska... Tak, tak się stanie! Czuł się szczęśliwym, że wpadł na podobny pomysł.

To też przepędził noc i następny dzień spokojniej, chociaż nie otrzymał żadnej wia-

hakatystowskie, a świeżo zawieszono podobnie w urzędzie komisarza obwodowego w Opalenicy za burdę, wywołaną na opalenickim dworcu kolei żelaznej, przez rozpędzanie ludu, który z pochodniami i śpiewem zebrał się tam, aby pożegnać odjeżdżającego arcybiskupa“...

*

„Gazeta Toruńska“ pisze w sprawie plakatu, wzywającego do podpalania Niemcom zabudowań:

„Pękła bomba, którą „Gesellige“ chciał zdruzgotać społeczeństwo polskie, i od razu zwaliła cały gmach kłamstw i intryg, zbudowany przez hakatystów. Donosiliśmy swego czasu, że „Gesellige“ ogłosił nadesłany mu plakat, wzywający do podpalania Niemcom zabudowań tak długo, aż ich żadne z towarzystw nieprzyjmie do ubezpieczenia. Cała prasa polska orzekła jednomyślnie, że plakat jest fabrykatem niemieckim i wezwała władze, aby przedsięwzięły surowe śledztwo celem wykrycia winowajcy. Gorącemu życzeniu Polaków stało się zadosyć.

Dnia 24 bm. zjechała do Starego Bukówca komisya śledcza, złożona z komisarza rządowego hr. S., landrata, prokuratora i sędziego śledczego wraz z protokolantami. Przybył na miejsce także reprezentant poszkodowanego z powodu ostatnich pożarów bukowieckich Towarzystwa ubezpieczenia od ognia, które również domagało się energicznego śledztwa i udzieliło komisyi niektórych informacyi.

Co się wykazało?

Oto plakat wydrukowany w „Geselligerze“ wśród potoku obelg na Polaków i katolików, a następnie powtórzony przez wszystkie pisma polakożercze, napisała szesnastoletnia córka protestancko-niemieckiego kolonisty, któremu niedawno spaliły się zabudowania, a który miał zboże bardzo wysoko zabezpieczone.

Czy wobec tego prokuratorya w Grudziądzu nie wytoczy „Geselligerowi“ procesu na podstawie § 130 kodeksu karnego? Powinni się o to upomnieć Polacy w Starym Bukówcu.

— *ski.*

LITERATURA I SZTUKA.

Zofia Kowalewska.

przez

Laurę Marholm.

(Studyum psychologiczne.)

(Ciąg dalszy).

W Sztokholmie nikt, a więc naturalnie i prof. Mittag-Lefler, do którego przylgnęła początkowo serdecznie, nie zwracał na to uwagi, że jest kobietą. Weszła w stosunki małostkowe, wśród których życie wydawało się zadaniem rachunkowem, opartem na czynnikach utylitarnych. Była to najjałowsza epoka w jej życiu i na jej wrażliw ej duszy wycisnęła rys pedanteryi.

Przedtem spotkała ją była w Paryżu nader charakterystyczna przygoda.

Przed śmiercią męża poznała tu, jak opowiada pani Leffler, młodego Polaka, matematyka i poetę, o duszy gorącej, jak jej własna. Nikt nigdy nie rozumiał jej, jak on, nikt nigdy nie podzielał w tym stopniu jej nastrojów, myśli i marzeń. Przebywali z sobą bezustannie, krótkie chwile rozłąki zapełniali długiemi listami. Oboje wierzyli, że „ludzie byli stworzeni parami, że każdy mężczyzna i każda kobieta są połowicznym tworem, póki nie znajdą swego dopełnienia...“ Przesiadywał u niej dniem i nocą, częstokroć o godzinie drugiej po północy przesadzał mur ogrodu, by wreszcie wrócić do domu. Pani Edgren, która sama dwudziestoletnią epokę swego małżeństwa spędziła w przedsionkach świątyni Hymenu, miłość zaś i uciechy macierzyńskie poznała dopiero w 40-ym roku życia, nazywa tę ich przyjaźń „dziwnie naciągniętym stosunkiem“. Oboje bowiem zabawiali się jedynie rozmową, upajali się słowami i zapewniali się wzajem, że nigdy połączyć się nie mogą, gdyż on pozostać musi „czystym“ dla czystej dziewicy przeznaczonej mu i oczekującej go na innej jakiejś planecie.

Pomyślećby można, że jest to gadanie dzieci, że kobieta o umyśle, doświadczeniach i stanowisku Zofii, powinnaby za pierwszem takiem słowem wyprawić za drzwi głupiego niedorostka. Ale gdzież tam! Ona wtórowała mu, „jak dwa płomienie zlewali się w jednem ognisku żaru.“ Siedzieli tedy z sobą — zdenerwowani, wzburzeni, nie mogąc się rozstać, rzucając sobie przez stół długie tyrady i przelewając całe potoki mądrych rzeczy do beczek Danaid. Przerwy bowiem w rozmowie nie można było dopuścić. Aby tylko nie przerwa, nie taka straszna cisza, wśród której słyszy się bicie tętna, i unikać trzeba wzajemnego spojrzenia niespokojnie latających oczu.

W sytuacyi tej interesuje nas tylko Zofia. Jest ona w niej istotnie bardzo zajmującą. Popierwsze sytuacyi takich nie wytwarza nigdy mężczyzna, a bądźcobądź nie powtarza ich nigdy. W sytuacyę podobną wejść może tylko kobieta, która jej szuka; najgłupsza młoda panna wie doskonale, w jaki sposób wskazać drzwi niemiłemu towarzyszowi. Każda dokona tego bohaterstwa znakomicie. Co innego, gdy się kobieta takiego pana pozbyć nie chce. Gdy zatrzymuje go, podnieca, zachęca do pozostania i drży przed chwilą, kiedy mógłby odejść.

Kto nie zna takich sytuacyi, częstych zwłaszcza między inteligentnemi pannami i bawiącymi się w dyletantów młodzieńcami! Zofia objęła w danym wypadku rolę inteligentnej panny. Cała jej taktyka, rodzaj podniecenia, w jakim się znajduje, zdradzają niedoświadczoną, nieobznajmioną z rdzeniem miłości kobietę. Kobieta, która wie z doświadczenia, co jest miłość, przy najgoretszym temperamencie zachować potrafi odmienny spokój. Wie, gdzie są rozdroża, nie obawia się rzeczy nieznanej i nie tęskni za niepewnością.

Odpowiedzą mi, że wiele kobiet zamężnych szuka właśnie takich sytuacyi. Zapewne. Już dużo kobiet, dla których małżeństwo nie jest ani *l'amour goût*, ani *l'amour passion*, ani *l'amour savant*, ani żadne inne „amour,“ lecz zdarzeniem mechanicznem. Obojętny mężczyzna, lub taki, który nie ma

---

domości; południe zeszło mu nawet znośniej, jak zwykle — wiedział, że wieczorem niepewność skończyć się się musi. Myślał o niej z wielką czułością i tęsknił za nią obecnie więcej, jak kiedy.

Około ósmej wyszedł z domu. Na jednej z dalszych ulic zawołał posłańca i kazał mu iść za sobą. Niedaleko od jej mieszkania zatrzymał się i dał mu ścisłe i dokładne zlecenie.

Spojrzał na zegarek przy świetle latarni i rozpoczął przechadzkę. Ale wnet przyszło mu do głowy: a jeżeli mąż domyśla się czego, jeżeli zacznie badać posłańca, przyjdzie tu wraz z nim?... W pierwszej chwili pobiegł za posłańcem, rozmyślił się jednak i patrzał, jak ten zniknął w bramie.

Stał dość daleko od domu, więc natężał wzrok, aby nie stracić go z oczów. Po chwili zobaczył go wychodzącego... obejrzał się, czy go kto nie widzi i pobiegł ku niemu.

— Cóż? — zapytał — co jest?

— Jaśnie pan kazał się kłaniać — odrzekł posłaniec — a jaśnie pani nie polepszyło się, za parę dni dopiero wstanie.

— Z kimżeś mówił?

— Ze służącą; poszła do pokoju i zaraz wróciła, zdaje mi się, że był właśnie pan doktór...

— Co mówiła?

Kazał sobie powtórzyć jeszcze parę razy to samo i nareszcie spostrzegł, że nie wiele więcej wiedział jak przedtem. Musiała być poważnie chorą; widocznie dowiadywano się z wielu stron o jej zdrowie — ztąd też jego posłanie nie zwróciło na siebie uwagi... To go też ośmieliło — zamówił posłańca nazajutrz na tę samą godzinę.

— Dopiero za parę dni wstanie: — więcej nic nie wiedział... A czy ona myśli o nim, czy wyobraża sobie, ile on cierpi z jej powodu — tego nie wiedział.

A może odgadła, że od niego pochodziło to ostatnie zapytanie o jej zdrowie?

— Jaśnie pan kazał się kłaniać, nie ona — on; może jej nie wolno nawet mówić...

Ale cóż jej być mogło?

Nazwy tysiąca chorób przebiegały mu po głowie.

Dopiero za parę dni ma wstać — więc nie było to nic groźnego... Lecz tak się to mówi zawsze: gdy jego ojciec leżał na łożu śmierci, mówiono to samo.... Spostrzegł, że zaczął biedz szybko, gdy go popychano co chwila na ludniejszych ulicach. Widział, że czas do następnego wieczoru wyda mu się wiecznością...

Godziny płynęły i chwilami dziwił się sam, że nie mógł uwierzyć w groźną chorobę swej ukochanej.

Zdawało mu się, że popełnia wielki grzech, będąc tak spokojnym...

I — co mu się już dawno nie zdarzyło — całe popołudnie spędził przy książce, jak gdyby nic go nie obchodziło i nic niepokoiło.

Posłaniec już czekał na rogu, gdy Alfred poszedł tam wieczorem.

Prócz zwykłego zlecenia, kazał mu się dowiedzieć szczegółowo od służącej, co właściwie było pani.

Upłynął kwadrans, zanim posłaniec wrócił. Alfred zaczynał się niepokoić, — wreszcie powrócił.

— Jaśnie pani ma się źle bardzo...

— Co?! — krzyknął Alfred.

— Jaśnie pani ma się źle bardzo — powtórzył posłaniec.

— Z kim mówiłeś? Co ci jeszcze powiedziano?...

— Służąca mówiła mi, że stan bardzo niebezpieczny... Dziś było trzech doktorów i jaśnie pan rozpacza bardzo.

— Dalej... dalej... co jej jest?... nie pytałeś się?... Mówiłem przecież....

— A jakże!... Musi być tyfus, od dwóch dni już pani nieprzytomna.

Alfred zdrętwiał i patrzał, jak nieprzytomny na niego. Po chwili zapytał:

— Więcej nic nie wiesz?

Ten zaczął opowiadać znów od początku; Alfred słuchał, jak gdyby każdy wyraz był dla niego nowością. Potem zapłacił mu, i poszedł napowrót pod jej mieszkanie. Tak, teraz mógł stać spokojnie, nikomu nie zawadzając — kto się tam o niego troszczył?

wpływu na kobietę — kobiety z niej nie uczyni. Nie macierzyństwo, lecz pocałunek kochającego mężczyzny budzi ze snu zaklętą księżniczkę.

Zofia nie rozumiała tej sytuacyi, jak nie rozumiała wielu innych późniejszych. Nie znała miłości męskiej. Kowalewski, który, mojem zdaniem, żadnej w życiu nie umiał wypełnić roli, i w stosunku do niej nie był tym, którego było potrzeba. Dla wyjątkowych kobiet, o umyśle pełnym świeżej oryginalności, o subtelnym temperamencie i delikatnych zmysłach, przeciętny mężczyzna nie może być mężem. Lecz kobiety takie nie znają się. Wielkie ich zdolności kryją się u samego źródła ich istoty i należy przebyć daleką drogę, aby zdobyć poznanie własnych swoich rozmiarów. Jedynie talent, biegłość, nic lub mało mająca wspólnego z osobowością, zna doskonale wymagania swoje i żadną naturalną skromnością na krzywdę swoją nie zezwoli.

Z wybitnem uzdolnieniem łączy się natomiast subtelna skromność. Wybitne jednostki czują brak równowagi między sobą a innymi i chociaż dla wyjawienia uzdolnień muszą torować sobie drogę, czynią to tak, jak gdyby przepraszały za swoje prywatne żądania. Bogate natury znają tylko małą cząstkę swych skarbów. Wstydzą się, rozdając królestwa, sądzą bowiem, że jest to grosz wdowi. A cóż dopiero kobieta, która wtedy dowiaduje się o swojem bogactwie, gdy obznajomi ją z niem rozkochany mężczyzna.

Taką była Kowalewska. Dawała pełnemi rękoma. Umysłem, wiadomościami, gotowością do usług, darami towarzyskimi obdarzała wszystkich — gdy jednak później, w tem odwiecznem, wewnętrznem osamotnieniu, na jakie skazany jest geniusz, zażądała dla siebie całego serca jednego człowieka, odpowiadano jej: „Żądasz zbyt wiele!“ To bowiem, czego geniusz żądać musi, a to, co dać może przeciętna miara, nigdy zrównoważyć się nie zdoła. Z niepewnej, niejasnej skłonności do owego niedojrzałego Polaka, ze skłonności, w której zmysły odzywały się tak słabym głosem, donośnie natomiast szlochało uczucie osamotnienia — wyrwała ją wiadomość o samobójstwie męża. Każdy zgon w jej rodzinie wstrząsał nią głęboko — a nie oszczędził jej los ciosów. Podniosła się właśnie, była słaba jeszcze, zwiędła z febry nerwowej, gdy pionierowie sprawy kobiecej w Szwecyi powołali ją do Sztokholmu, gdzie dusza jej miała być skazana na chłód, duch — na tęsknotę, ciało — na zgon.

Okres, który nastąpił potem, streszczę pokrótce. Opisała go wyczerpująco pani Leffler w książce o Kowalewskiej, zaś Ellen Key w dziełku o p. Leffler sprostowała niektóre zbyt jaskrawe pomyłki i wypełniła braki. Nawet dla czytelników, którzy obu wspomnianych książek nie znają, streszczę ten okres życia Kowalewskiej tylko pokrótce. Były to bowiem w wewnętrznym jej bycie lata najbardziej martwe i pod względem psychologicznym najjałowsze. Weszła w ruch, z góry już z powodu krótkowidztwa na czczość skazany i miała być ruchu tego dźwignią. Wciągnięto ją do ściśle odgraniczonego towarzystwa, które rozpadało się na dwie wyraźnie oddzielone od siebie grupy: na umysłowo pobudzonych, pełnych reformatorskiej gorliwości pań i panów, wśród których nie było ani jednej prawdziwie wyższej, twórczej indywidualności męskiej; i na grupę męską, rdzennie szwedzką, do której nie należały kobiety lepsze. Spędzała ta gromada czas na wesołych biesiadach nocnych z winem i śpiewami, i miała w swojem łonie kilka wybitnych talentów, wrogo, pogardliwie spoglądających na grupę pierwszą. W Sztokholmie po raz pierwszy Zofia zmuszona była odrabiać pańszczyznę, tę zupełnie zwykłą, codzienną — musiała uczyć za zapłatę. Stanowisko czyniło ją zależną od moralnego widnokręgu pewnej kliki. Dzięki wrodzonej sprężystości, potrafiła zstąpić z szerokich, wielkich dziedzin swego geniuszu, aby, jako docent, podporządkować się profesorowi i pełnić obowiązki nauczycielskie, które wkrótce śmiertelnie zaczęły ją nudzić. Matematyka bowiem póty miała dla niej prawdziwy urok, póki przyświecał jej geniusz starego Weierstrassa, rozpalający w niej błyskawice twórczego rozumienia.

Przez jakiś czas jako tako dostrajała się do otoczenia. Nie potrafiła atoli tak zupełnie zniżyć się do poziomu swoich aniołów stróżów, aby nie pobudzać ich do kiwania głową i częstych napomnień. Żywa, dowcipna, żadnych niemająca wymagań, zabawiała rozmową całe towarzystwo — aż ten tak dobrowolnie sponiewierany przez nią nadmiar inteligencyi i temperamentu wywołał przykre znużenie w kole wielbicielek. Gdy spłowiał pierwszy blask nowości, zbliżyła się najwięcej do powolnej, spokojnej pani Leffler. Wywiązała się pomiędzy niemi przyjaźń, jedna z tych, które dziś, kiedy kobiety zaczynają żyć umysłem, tak są między niemi częste: przyjaźń rozumowa, bez głębszej wzajemnej sympatyi, zawarta nie z powodu bogactwa, lecz braku, — stosunek, w którym dwa minusy usiłują złożyć pospołu znak dodatni. Z chwilą, gdy znajdzie się jakiś plus, pierzcha zainteresowanie i rozumienie się wzajemne. Tak było i w tym wypadku, gdy na horyzoncie pani Leffler ukazał się książę Cajanello... We wspomnieniu pośmiertnem, poświęconem Zofii, a napisanem w najlepszych może zamiarach, podczas pierwszych tygodni miodowych miesięcy, pani Leffler okazała mało taktu i sympatyi względem przyjaciółki.

Z przyjaźni tej powstały owe utwory, do których Zofia dostarczała materyału, a które pani Leffler urabiała, usiłując ująć w formę objektywną, realistyczną to, co Kowalewska intuicyjnie, psychologicznie odczuła w życiu. Ona była istotą mistyczną, pełną chaotycznych mroków i tej bezbrzeżnej tęsknoty, właściwej Słowianom; pani Leffler była wykształconą córką rektorską, która „ustawicznie pracuje nad swoim rozwojem.“

Już podczas tej wspólnej pracy przychodziło do starć między przyjaciółkami. Pani Edgren gniewała się o to, że „zaparła się własnego dziecka“ — utworu p. t. „W około małżeństwa,“ gdzie miała zamiar opisać życie kobiet niezamężnych. Niewyczerpana wyobraźnia Zofii przytłaczała, krępowała ją, wnosząc do jej trzeźwości jakieś czynniki obce, wymagające szerokości powietrza. Tworzyła tedy duże, obszerne, napuszone powieści, które nie miały w sobie prawdy. Zupełnie inaczej oddziaływała pani Leffler na Kowalewską. Przekonała się, że towarzyszka jej nie tyle posiadała talen-

---

Wpatrywał się w szyby sypialni, chciał przebić je wzrokiem.

Tak – to było przecież jasne, że za temi spuszczonemi firankami musiał się znajdować ktoś ciężko chory; jak mu to mogło nie przyjść do głowy odrazu, pierwszego wieczoru?

Przed dom zajechał powóz i Alfred zobaczył znanego profesora, wysiadającego i wchodzącego do jej mieszkania.

Podszedł szybko do bramy, czekając powrotu lekarza, w nadziei, że wyczyta co z jego twarzy...

Stał jakiś czas bez ruchu, ziemia zaczęła pod nim kołować, przymknął oczy, a gdy otworzył napowrót, wydało mu się, że całe godziny prześnił.. Że była poważnie chora — wierzył, ale, że niebezpiecznie — nie... Tak młoda, piękna i tak ukochana....

Nagle przez głowę mu przemknął wyraz: „tyfus“... Nie wiedział dokładnie, co to jest. Przypomniał sobie, że zdarzało mu się czytać o tem, jako o przyczynie śmierci w wykazie umarłych.

I wystawiał sobie teraz jej nazwisko już wydrukowane, jej wiek, a potem: „zmarła 10 sierpnia na tyfus“...

To było niemożebne, zupełnie niemożebne... to byłoby zbyt potwornem, gdyby to miał rzeczywiście zobaczyć kiedyś wydrukowanem!...

Lekarz wyszedł z bramy. Alfred całkiem o nim zapomniał: oddech zamarł mu w piersi. Twarz lekarza była zupełnie spokojną i poważną i odjechał.

— Dlaczego się go nie spytałem? — myślał Alfred... a potem był z tego zadowolony, że tego nie uczynił. W końcu mógłby jeszcze co złego usłyszeć. A tak mógł dalej mieć nadzieję.

Oddalił się powoli od bramy i postanowił powrócić za godzinę...

Nagle przedstawił sobie tę chwilę, gdy ona po raz pierwszy po wyzdrowieniu przyjdzie do niego.... Miał tak wyraźny obraz tego, że aż się zadziwił. Wiedział nawet, że tego dnia będzie padał drobny deszczyk. I ona będzie miała na sobie płaszcz, który już zrzuci w przedpokoju i padnie mu w ramiona i będzie tylko płakać, płakać....

— Oto mnie masz znowu — szepnie w końcu...

Naraz wzdrygnął się... wiedział, że to nigdy, nigdy nie nastąpi... Nikt już nie przyjdzie do niego; przed pięciu dniami po raz ostatni była u niego i pozwolił jej odejść nazawsze i nie wiedział o tem...

Znowu przebiegał ulice, myśli huczały mu w głowie, pragnął stracić świadomość. Znowu był przed jej domem. Brama była jeszcze otwartą, a na górze świeciło się w jadalni i sypialni... Alfred zawrócił. Wiedział, że gdyby jeszcze pozostał przez chwilę, musiałby pobiedz na górę do niej, do jej łóżka, do ukochanej. I podług swego zwyczaju rysował cały obraz w wyobraźni.

Widział, jak mąż jej pojąwszy wszystko od razu, podbiegł do chorej, która leżała nieruchomie, wstrząsnął nią i krzyknął nad uchem:

— Twój kochanek jest tu!... twój kochanek!

Lecz ona już nie żyła...

Noc przeszła mu pośród ciężkich myśli, dzień w głuchej męczarni. Około jedenastej posłał znów posłańca. Mógł to już uczynić spokojnie; kto tam się troszczył, od kogo pochodzi zapytanie. Wiadomość, którą otrzymał, brzmiała: „bez zmiany“...

Całe popołudnie leżał w domu na kanapie i nie pojmował sam siebie. Wszystko mu było obojętne i myślał: jednak to pięknie być tak zmęczonym.... Spał dużo. Gdy się ściemniło, zerwał się, jakby zdziwiony, że dopiero teraz po raz pierwszy przez cały ten czas wróciła mu świadomość.

(Dokończenie nastąpi.)

tu, ile jej przypisywano, nabrała więc ufności we własny swój talent literacki. Napisała wzmiankowane wyżej wspomnienia p. t. „Siostry Rajewskie“ i opowieść „Wiera Woroncow.“ Są to książki niezwykle głębokie i obejmujące więcej, niż inne arcydzieła ówczesnych pisarek. Nie wynagrodzono jej uznaniem, na jakie zasłużyła, dlatego właśnie, że nikt nie rozumiał przemawiającej z utworów tych indywidualności.

Dotychczas mylnie pojmowano Kowalewską, najmylniej zaś pojmowała ją pani Leffler. Traktuje ją, jak równą sobie, widać z takiego punktu widzenia:

Ja jestem wielka i ty jesteś wielka —
Obie jesteśmy równie wielkie.

Lecz Zofia i pani Leffler — to bynajmniej nie równe wielkości. Pani Leffler wewnętrzną swoją istotą ma się do Zofii tak, jak zjawisko czasowe do zjawiska wiecznego. Pani Leffler jest zwykłą sobie kobietą, o nader starannie rozwiniętym talencie; Kowalewska zaś jest jedną z tych zagadek, zjawiających się w świecie co czas jakiś, gdzie przyroda, zda się, występuje z granic. Takie jednostki skazane są na samotność, na cierpienia i na śmierć przedwczesną, nigdy treści swojej nie poznawszy...

W r. 1888, mając lat 38, Zofia po raz pierwszy poważnie poznała tę miłość, w której tkwi dola kobiety. M. K. był to wysoki, barczysty światowiec, bogaty bojar, pensyonowany profesor, który żył po za granicami Rosyi i przeważną część czasu spędzał na podróżach. Nie był tak młody, jak książę Cajanello. Starszy o kilka lat od Kowalewskiej, posiadał indywidualność skończoną, zrównoważoną, wolnym był od bolesnych uczuć młodzieńczych, od tej potrzeby przywiązania się do kogokolwiekbądź, ogrzania się ciepłem czyjegoś serca, od niezaspokojonych tęsknot i złudzeń, któreby można jeszcze stracić. Stosunkowo łatwiej jest porozumieć się starszej kobiecie z młodszym mężczyzną, to też miłość jaką wzbudziła pani Leffler w młodym, niespokojnym księciu Cajanello, nie jest bynajmniej objawem zadziwiającym. Inaczej przedstawiała się rzecz u Zofii. Bojar, którego nazwiska wymienić nie mogę, bo żyje jeszcze i znajduje się w pełni sił, otrzymał był od życia wszystko, czego zapragnął. Był to imponujący, sceptyczny ulubieniec i znawca kobiet. O ile cokolwiek zająć go jeszcze mogło, zajęła go Zofia, jako rodaczka, geniusz, towarzyszka, ale jako kobieta nie miała dla niego tego fenomenalnego znaczenia, jakie kochająca kobieta ma dla młodego mężczyzny, któremu uśmiecha się po raz pierwszy przepełnione uczuciem serce niewieście. Owo przez tak długi czas tłumione ciepło, które objawiło mu się w niemłodej już kobiecie, nie miało dla niego ani uroku nowości, ani siły, mogącej niespodzianką podrażnić próżność. Przyjął miłość jej spokojnie i w niczem życia dla niej nie zmienił. Nie miał żony Zofia więc miała mu być żoną. Ale rozmarzonym, roztęsknionym kochankiem być już nie mógł.

Po raz pierwszy Zofia kochała jak młode dziewczę, z tem drżącem, zdradzieckiem, niepohamowanem uczuciem szczęścia z powodu tych niebywałych rzeczy, jakie działy się w jej własnej duszy, i dlatego, że ten człowiek był istotnie, że mogła widzieć go jutro, jak dzisiaj, dotknąć go ręką i objąć ramieniem. Żyła tylko wtedy, kiedy go widziała — nie widząc go, wpadała w rozpaczliwą bezradność. Teraz dopiero na dobre znienawidziła Sztokholm, gdyż więził i dusił ją. Człowiek, którego kochała, był słońcem południa, w nim — był szeroki świat, dalekie horyzonty, wolny duch, dumna pogarda przesądów. Przedewszystkiem zaś — on był duchem ziemi, z której ona powstała, mową, którą piastunka tuliła ją w dzieciństwie do snu, progiem rodzinnym dla tułającej się na obczyźnie samotnicy.

Gdy jednak, wziąwszy urlop, jechała do niego do Włoch lub do Paryża, spotykała się ze zrównoważonym spokojem, który na rozgorączkowane jej „ja“, działał, jak mroźny powiew. Spodziewała się dobroczynnego ciepła, w którem by cała istota jej rozszerzyć się i wyzdrowieć mogła. Zamiast niego — własne jej uczucie napływało powrotną falą do serca, trawiąc je suchym żarem.

Napięta struna sił zaczęła pękać. Wydało jej się, jakby naokół wszystko zmieniło się w czarną pustkę, w której znalazła się sama jedna, samiutenka. Miara przebrała się głównie dla tego, że codzienne jej z nim obcowanie przypadło na czas, gdy wśród mozołów i bezsennych nocy pracowała w Paryżu nad uzyskaniem „Prix Bordin“. Otrzymawszy najwyższe to odznaczenie, znajdowała się w stanie takiego zmęczenia, wyczerpania, w jakiem wysilony mózg i udręczone nerwy widzą wszystko w barwach czarnych. Szczęście wydaje się natenczas cierpieniem; z fizycznego i duchowego wyczerpania płynie jakaś niewysłowiona beznadziejność, przyoblekająca wszystko w kir nocy, nie dającej spokoju. W podobnych stanach pragnienie erotyczne potęguje się u natur twórczych: cały organizm jest jakoby tknięty jakąś niemocą, którą najłatwiej usunąć może z zewnątrz idący, ciągły prąd sympatyi. Wtedy człowiek, którego kochała, ofiarował jej rękę. Zofia wszakże widziała wówczas tylko przepaść, dzielącą jego gentlemeńskie zastosowanie się do jej gorącej miłości. Niczego nie chciała, ponieważ nie otrzymała wszystkiego. Potrosze stał jej na zawadzie obraz pierwszego małżeństwa, po części nieprzezwyciężony jeszcze całkowicie punkt widzenia szermierek praw kobiecych. Panie te ważą na złotej wadze: „za tyle a tyle łutów i uncyi miłości powinnam otrzymać tyle a tyle łutów i uncyi miłości; za cnotliwe moje życie, które wyrażam w tylu a tylu metrach, centymetrach i milimetrach, mam prawo żądać takiej samej miary cnoty u przeciwnej strony“.

M. K. nie wdawał się jednak w podobną arytmetykę miłosną. Zofia wróciła do Sztokholmu z bolesnem przeświadczeniem, że „nigdy nie była dla nikogo wszystkiem“. Tu wśród niechętnie odbywanej pracy zawodowej przyszła do świadomości, że miłość nie jest rzeczą, którąby mierzyć i ważyć można. Skierowała tedy wszystkie żądania ku temu, aby pozbyć się katedry w Sztokholmie — a katedrę tę od czasu uzyskania Prix Bordin oddano jej dożywotnie — aby wyjechać ze Szwecyi, gdzie zerwała była wszelkie ściślejsze stosunki. Miała widoki na otrzymanie honorowej godności członka Akademii umiejętności w Petersburgu, co dałoby jej materyalną niezależność i zupełną swobodę. Gdy w r. 1891 powróciła do Sztokholmu z Włoch od ukochanego, uczuła — może jak nigdy dotąd — że dłużej osamotnienia i pustki w życiu znieść nie potrafi, że należałoby co prędzej rzucić wszystko i przyjąć rękę ofiarowaną.

Była śmiertelnie znużoną, gdy odbywał się w niej wspomniany przewrót. Przez długi szereg lat wiodła życie temperamentowi jej wprost przeciwne. Natura jej, falująca między brzegami egzaltacyi i apatyi, weszła w jarzmo regularnej trzeźwej pracy; w tym samym czasie odumarły ją wszystkie drogie jej sercu istoty. Podczas gdy ona sama męczyła się i tęskniła, widziała jednocześnie, jak rozsypują się marzenia młodości ukochanej jej siostry Anny, jak marzenia spełnione zmieniają się w szyderstwo i biedna kobieta umiera powoli ciałem i duszą. Kiedy więc z ciepłego, wesołego południa pojechała po raz ostatni na zimną, twardą północ, pękło coś w jej wnętrzu. Nie miała już duchowej odporności dla zniesienia niewygód podróży, połączonej z częstem przesiadaniem wśród śniegu, wiatru i chłodu. Przyjechała do Sztokholmu chora i natychmiast rozpoczęła wykłady. Była ciężko zaziębioną, gdy w niepokoju, poprzedzającym gorączkę, wybiegła, złakniona powietrza, w lekkiem obuwiu na ulicę. Było to w lutym, podczas surowego, północnego mrozu.

(Dokończenie nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Wrota żelazne.

Wielkie dzieło, którego pomyślne doprowadzenie do skutku, jest zaszczytem bieżącego wieku, zostało świeżo ukończone.

Wrota Żelazne, naturalna kamienna baryera, uniemożliwiająca od wieków prawidłową żeglugę na Dunaju, już nie istnieją.

Przed kilku dniami w obecności głów koronowanych i zaproszonych z całego świata gości, nastąpiło uroczyste ich otwarcie, dziś już parowce, zanurzające się głęboko w wodę, spokojnie przebywają całą drogę, od węgierskiego Bazias do rumuńskiego Turn-Severinu. Pamiętam dobrze żeglugę na tym kawałku wodnego szlaku, kilkanaście lat temu. Płynąłem z Belgradu do Orsowy i nie powstrzymany z początku w moim postępie naprzód, wkrótce po przebyciu Bazias, zmuszony byłem przesiąść się na maleńki statek, by módz dalej odbywać moją drogę.

A z jaką ostrożnością posuwał się ten statek w obawie, by nie rozstrzaskał się o zalegające całe łożysko rzeki głazy, jakie zadowolenie malowało się na twarzach nas podróżnych, gdy nareszcie z tego kamiennego gardziela, grożącego nam zagładą, wydostaliśmy się na szerszą wodę! Kto dziś tam, tą drogą spokojnie płynie, podziwiając wspaniałości wybrzeża serbskiego, ani się domyśla, że jeszcze nie tak dawno, podziw ten mieszał się z naturalnym strachem, na widok trudnych obrotów, jakie łódź, której, niby część składowa, złą i dobrą dolę dzielił, dokonywała wśród olbrzymich kamieni.

Swiadek tego co tam było wczoraj jeszcze, gdym świeżo ponownie odbywał tę drogę, uprzytomniłem sobie te wrażenia, jakich się tam nie tak dawno doznawało, ale pod wpływem ich nie pozostawałem przecież długo, bo myśl moja zajęta była wielkiem dziełem, którego cywilizacyjne skutki już dziś łatwo obliczyć się dają.

Dzieje tych Wrót Żelaznych, to dzieje usiłowań ducha ludzkiego, zmierzających do ujarzmienia sił przyrody.

Zaledwie oddalone te, od środka ówczesnego świata, strony, poznane zostały, dążności państwa, uosobiającego w sobie cywilizacyjne pragnienia wieku, zwrócone zostały ku usunięciu przegrody, na przeszkodzie im stojącej. Masz tego ślad na stronie serbskiej, w Tablicy Trajana, który wędrując tędy z kohortami rzymskiemi kopał kanały, by niebezpieczeństwo żeglugi na Dunaju zmniejszyć. Ale siły ówczesne zbyt słabemi były na takie olbrzymie zadania i dopiero inżynieryi współczesnej przypadł w udziale zaszczyt usunięcia z powierzchni ziemi tego, co kaprys przyrody, na przekorę człowiekowi

w miejscach tych porzucił. Nauka, która niby domki z kart usunęła z przed posuwających się naprzód parowozów przepaście i górskie wyniosłości, i tu wyrzekła potężne swoje słowo, ale wyrzekła je dopiero dziś, gdy geniusz człowieka dał jej środki do zwalczania przeciwności.

Rozsadzenie Wrót Żelaznych zostało ostatecznie postanowione na kongresie berlińskim.

Powołano do tej pracy trzy państwa, przytykające do Dolnego Dunaju, ale kierownictwo robót złożono w ręce węgierskie. I nie pożałowano tego, ręce te bowiem nie okazały się za słabemi do tej pracy.

A była to praca i długa i mozolna, nie w jednem bowiem tylko miejscu koryto rzeki zalegały tamujące żeglugę głazy i aby o jej rozmiarach dać jakie takie pojęcie, dość będzie, gdy powiemy, że dla umożliwienia wielkim statkom swobodnego pochodu naprzód, musiano rozsadzić dynamitem 367,000 kubicznych metrów skał podwodnych. Tym sposobem w korycie rzeki utworzono wygodne kanały, wycięto wrota z zachodu na wschód, kosztem kilkunastu milionów złotych reńskich, ziszczono pragnienie twórców wielkiego projektu, streszczającego się w tem: aby siłom ekonomicznym i intelektualnym ludzkości nie stały w tem miejscu na zawadzie brutalne przyrody moce.

Doznaje się pokrzepiających wrażeń, gdy się też dziś temi wodami płynie. Gdzie dawniej ostre skały bodły rzekę, widzisz teraz gładką, niby lustro płaszczyznę i tylko miejscami pieniące się gwałtowniej fale zdradzają obecność przykutych do koryta skał. Ale na skały te nie zwraca dziś nikt uwagi i jak gdyby na urągowisko nad ich bezsilnością rozlega się w powietrzu tuż przy nich głośny turkot kół parowców, mknących szybko w dal modrego Dunaju.

Dzieło jednem słowem wielkie i na karcie intelektualnych zdobyczy końca tego wieku zapisze się złotemi głoskami.

To, o czem marzono od lat tylu, co ostatecznie jako niewykonalne zaniechano, w obec niedołęstwa ówczesnych środków technicznych, jest dziś faktem. Pękły tamy paraliżujące swobodną wymianę produktów na najważniejszej arteryi komunikacyjnej wodnej Europy, rozum i wola człowieka odniosły tryumf jedynie jego godny nad brutalną materyą.

Przed oczami robi się jaśniej, a w duszy pogodniej, kiedy się na takie dzieła patrzy i o takich tryumfach myśli.

TO I OWO.

Leczenie raka.

Rosyjskie czasopismo lekarskie „Wracz“ podało niedawno temu sensacyjną wiadomość o leczeniu raka Glistewnikiem, jaskółczem zielem, (*Chelidonium majus*), rośliną bardzo pospolitą i używaną przez lud do niszczenia brodawek. Obecnie twórcą tej metody, dr. Denisieńko, przytacza w nr. 34 „Wracza“ opis szczegółowy 7 wypadków leczenia. Sprawozdawca gazety „Nowosti“ tak się o tych kuracych wyraża: „Wracz“ zamieszcza 7 opisów przebiegu kuracyi i zaopatruje je fotografiami. Zdjęcia zrobione są z chorych, których nader trudno byłoby poddać operacyi, ponieważ nowotwór, znajdując się na szyi, obejmował sferę najniebezpieczniejszą dla operacyi. W ten sposób jest rzeczą niewątpliwą, że gdyby nawet glistewnik nie okazał się na tyle potężnym środkiem przeciw nowotworom rakowatym, o ile to może się teraz zdawać, to w każdym razie można się po nim spodziewać pomyślnych rezultatów w tych wypadkach, w których żadne inne środki nie przynoszą korzyści, a noża użyć niepodobna.

Wypadki leczenia raka wewnętrznego, jakkolwiek mniej pomyślne, dają także niespodziewane dla lekarza rezultaty. Każdy lekarz wie, że od chwili pojawienia się nowotworu rakowatego w organach wewnętrznych, zwłaszcza takich, gdzie operacya jest niemożliwa, chory uważa się, jako bezpowrotnie skazany na śmierć. Nowotwór rośnie mniej lub więcej szybko i w oczach otaczających siły chorego gasną, organizm wyniszcza się. Otaczający starają się tylko o to, aby przynieść ulgę w cierpieniach umierającego. Lekarz w takich wypadkach jest bezsilny.

W trzech opisach choroby, przytoczonych przez dra Denisienkę, z których dwa dotyczą raka w przewodzie pokarmowym i w żołądku, a w trzecim, miejsce nowotworu nie jest ściśle ustanowionem, jest widocznem, że po dawce wewnętrznej glistewnika stan zdrowia chorych polepszył się, a puchlina zmniejszała się. Ten ostatni rezultat jest szczególniej uderzającym. Chorzy, którzy z trudnością przełykali płynne pokarmy, po 23 dniach jedli swobodnie kotlety, chleb i jaja na twardo. Badanie sondą wykazało, że nowotwory w przewodzie pokarmowym zmniejszyły się znacznie, a może nawet zniknęły zupełnie. Tymczasem wypadki zmniejszenia się nowotworów pod wpływem dawek jakiegokolwiek środka na wewnątrz dotychczas nie były znane.

W ten sposób medycyna może powitać odkrycie dra Denisienki, jako jedno z najwybitniejszych odkryć, wprawdzie czysto empirycznych, ale nie tracących przez to bynajmniej swego doniosłego znaczenia.

Pozostaje jedna i przytem najważniejsza kwestya, od której rozwiązania zależy dalszy los odkrycia. Jeżeli okaże się, że u chorych, „wyleczonych“ glistewnikiem, nowotwory nie wracają po pewnym czasie, wówczas odkrycie dra Denisienki będzie najdonioślejszem odkryciem ostatnich czasów, donioślejszem nawet od odkrycia surowicy przeciwbłonicowej. Jeżeli zas nadzieje te nie spełnią się i „wyleczeni“ glistewnikiem po pewnym czasie znów zachorują, wówczas znaczenie glistewnika pozostanie tylko w charakterze środka paliatywnego.

Przy użyciu glistewnika jest jeszcze jedna okoliczność, wymagająca wyjaśnienia, a mianowicie pytanie, czy dłuższe użycie tego środka nie przynosi mniejszej lub większej szkody organizmowi. Dr. Denisienko szkody tej nie spostrzegł, ale jeżeli przypomnimy sobie, że glistewnik należy do rodziny makowych i że w medycynie ludowej wywoływał wypadki zatrucia (bez rezultatów jednak śmiertelnych), że w nim mieszczą się dwa trujące alkaloidy: chelidonina i sangwinina, wówczas kwestya możliwej szkody dla organizmu przy dłuższem jego użyciu może mieć swoją *raison d'être.*

W każdym razie pożądanem jest, aby publiczność, rzucająca się chciwie na wszelkie, a w szczególności tak ważne środki, pamiętała, że tylko w rękach doświadczonego i kompetentnego lekarza glistewnik może przynieść pożytek i że w obec jadowitości tego środka nie można używać go jako lekarstwa domowego. Takie ostrzeżenie ważne jest i w znaczeniu naukowem, gdyż nieostrożne używanie glistewnika może zaraz na wstępie osłabić do niego zaufanie, jako do środka lekarskiego. Należy poczekać, dopóki liczniejsze próby nie wydadzą ostatecznego wyroku o nowem lekarstwie, a tymczasem należy pragnąć, aby próby te i doświadczenia przeprowadzone były w jaknajszerszym zakresie.

Z estrady i sceny.

Otwarcie sezonu.

Nie lubię inauguracyjnych przedstawień w prowincyonalnych teatrach. To zwykle parada artystów, — wielki akt prezentacyi nowozaciężnych służebników Talii i Melpomeny. I nie lubię tej publiczności studyującej ciekawie nowe fizyognomie, — tylko fizyognomie i kształty. Sztuka schodzi w takich uwerturach sezonu zwykle na plan drugi i nieraz wydaje mi się, że „oni i one“ po to tylko wstępują na scenę, aby nam powiedzieć: „Jestem pierwszy kochanek, jestem pierwsza naiwna“, — a publiczność się kłania i szepcze: „Co za figura! Co za gors!“ lub odwrotnie: „Brzydka i stara“ ,krzywy i za nizki“.

Czwartkowa składanka nie stanowiła pod tym względem wyjątku, lecz dla nas zrozpaczonych niedołężną gospodarką ostatniego sezonu była ona, mimo właściwej sobie ceremonialności, jakby szczerym dźwiękiem prawdziwego artyzmu, jakby wróżbą lepszego jutra. Nieznośna, zgrzybiała szarość kulis i dekoracyi zagrała żywemi kolorami, — kostyumy stylowe, pozbawione pstrokacizny niedawnej przeszłości, i grupowanie artystyczne, w pięknie ułożone linje, wszystko to zdradzało umiejętną rękę reżysera i staranną pracę. Oczywiście nowa tualeta naszej Melpomeny ukazywała jeszcze tu i owdzie pewną połowiczność, — jakiś sandał źle zawiązany, jakąś błędną fałdę w tunice lub wstęgę wybladłą na świeżym kostyumie. Któż jednak dziwić się może tym usterkom, właściwym wszystkim początkom. Jest ruch, jest praca, jest umiejętność, jest smak i miłość dla sztuki, — to nam chwilowo wystarcza, wystarczyć musi, i więcej nawet: to nam dyktuje szacunek dla nowej dyrekcyi.

Nie dziwię się też bynajmniej, że dojrzałych talentów wstąpiło niewiele na poznańską scenę, bo wypowiadałem już niejednokrotnie opinię, że w twardych warunkach bytu naszego teatr poznański musi być areną sił młodych, wyrastających zwolna do wyżyn prawdziwego artyzmu pod staranną opieką zdolnej reżyseryi; niechaj się plączą te młode stopy, niechaj ręce trzepotają bezradnie jak ptak usidlony, niechaj głos drży lub zgrzyta fałszywym akcentem, — całe to dzieciństwo talentu przerażać nas nie powinno, bo byle tylko te pączki surowe miały warunki rozwoju, to w kwiat wonny i piękny rozwinąć się mogą. Ileż to takich pączków zakwitło na poznańskiej scenie! Zrazu zamknięte, bezwonne i twarde, później odurzające zapachem i barwą. Byle tylko ręka umiejętna, byle tylko serce prawdziwego artysty i dobrego ojca karmilo je i przed zimnem strzegło, a kielichy swoje ku słońcu rozwiną. Dziś mamy takiego artystę i takiego ojca.

Pierwsze przedstawienie oczywiście może być tylko względną miarą jego działalności, i kto zna dokładnie warunki, w jakich się tworzy u nas nowe towarzystwo, ten zaiste dziwić się nie będzie, że obsada ról wczorajszych nosiła piętno ambarasu na czole. Zdaje mi się, że dziś, gdy towarzystwo już się skompletowało, nie powierzy dyrekcya po raz drugi roli Balladyny pannie Talko, która może posiada bardzo dobre warunki na salonową rezonerkę, lecz tej „która się krwawi“ i stąpa po scenie z nożem w ręku jak wcielenie grzechu, nie odtworzy nigdy. Wierszem mówiła dobrze ta nowa artystka i nie kaleczyła starym zwyczajem poznańskim perłowych rymów Słowackiego, ale nie widziałem mroku, nie widziałem zbrodni, co jak chmura duszę ogarnia, nie widziałem Balladyny. Trochę

Dumasa, — być może, — Juliusz i Szekspir gdzieś mi się zapodział. Pan Tarasiewicz w roli Puławskiego (Konfederaci Barscy) miał płomienie w głosie, lecz mniej aktora a więcej człowieka byłoby dla roli Mickiewiczowskiego bohatera nader pożądanem zjawiskiem. W ruchach młodego artysty czuć szkołę, czuć lustro bezustannie. Mimika nie łączy się organicznie ze słowem, — jest sztucznie przylutowaną. Ta sama wadliwość razi także nieco w grze p. Prochaski, lubo znaczną część usterek położyć należy na karb pierwszej tremy i braku obycia z deskami naszej sceny. Bądź co bądź, w obu tych artystach zyskał teatr poznański użyteczne siły ze sporą dozą talentu i zapału. O p. Szelągowskim w roli Fredrowskiego Papkina to samo tylko powiedzieć mogę, co o pannie Talko. Roli nie pojął, stylu niezrozumiał. O rozwoju talentu u artysty tego mowy być nie może, bo jest to aktor starszy, i o ile się zdaje, zakrzepły w rutynie. Czekajmy, ile artyzmu ten skończony materyał objawi w innych, właściwszych dla siebie rolach.

O Rygerze mówiłem obszernie przed kilku laty z okazyi gościnnych występów na poznańskiej scenie, a dzisiaj tylko powtórzyć mogę, że talent ten króluje wysoko nad całem towarzystwem poznańskiem. Mniej mnie zachwyciła jego deklamacya prześlicznego prologu Asnyka, mniej jego ojciec Marek, chwilami nie dość kensekwentny i nieco sztuczny, lecz cześnikiem w „Zemście" Fredrowskiej wzniósł się na wyżyny prawdziwej sztuki, niczem niesfałszowanego artyzmu. Dawno już na scenie naszej nie widziałem tak stylowej postaci. Jeden Rychter takiem okiem lustrował szablice swoje, jeden Leszczyński tak dziś jeszcze nosi kontusz szlachecki. A gdy rozparty w fotelu dyktował list pisarzowi, gdy się zamyślał i szukał w głowie rębajły zwrotów palestrantowego stylisty, to zmartwychstały przed okiem naszem te piękne czasy, gdzie jeszcze Fredrę grać umiano na polskich scenach.

Należałoby na zakończenie słówko powiedzieć o efektownym marszu Dembińskiego, wykonanym pod batutą samego autora, o stylowym polonezie i nieco chropowatym, mało zaokrąglonym mazurze, lecz wyroki o muzyce nie do mnie należą w „Przeglądzie", a sztuce choreograficznej na scenie poznańskiej poświęcę w najbliższym czasie kilka uwag ogólniejszej natury.

W. R.

KRONIKA LITERACKA

— Nagroda za dzieła moralne. Akademia francuska przyjęła nowy zapis, wynoszący sto tysięcy franków, którego odsetki mają być użyte na premiowanie „moralnych utworów literackich". „Debats" powstaje przeciwko takiemu zapisowi, twierdząc, że Akademia posiada wiele podobnych i że nie rozdaje ich właściwie. Nagrody wynoszą 500—1000 fr. Tak małe sumy nie stanowią zachęty dla pisarzów wybitnych, mnożą się więc tylko literackie miernoty. Dziennik proponuje, aby połączyć te sumy i utworzyć mniej nagród, ale wyższe od 5000—10 000 fr.

* * *

— Historya Irlandyi. Literatura historyczna irlandzka wzbogacona została nową monografią O'Connor'a Morrisa. Jak wiadomo, dotąd większość dzieł historycznych, traktujących o Irlandyi, nie miała zbyt wielkiej wartości, ponieważ odznaczały się one jednostronnością: były to dzieła polityków, mające na celu przeprowadzenie tego lub innego punktu zapatrywania na przebieg wypadków. Autor nowej monografii, z zawodu prawnik, daje zupełnie spokojnie i objektywnie napisaną historyę Irlandyi, dzięki czemu dzieło jego jest nader cennym nabytkiem dla tych wszystkich, którzy chcieliby zapoznać się z historyą tego kraju.

* * *

— Historya literatury angielskiej. Instytut bibliograficzny w Lipsku zajął się obecnie wydawnictwem historyi literatury angielskiej, napisanej przez Ryszarda Wüfkera. Dzieło to wychodzi zeszytami. W pierwszych sześciu zeszytach autor daje obraz literatury angielskiej do Szekspira; w 7—10 zeszytach jest mowa o ruchu literackim podczas rewolucyi, restauracyi i w XVIII wieku. Zeszyt 10 obejmie charakterystykę Burnsa, którego setną rocznicę urodzin obchodzono w Anglii. Całe dzieło utworzy 14 zeszytów i kosztować ma w oprawie 16 marek.

* * *

— W Krakowskim Związku literackim p. Józef Kotarbiński odczytał szkice literackie z cyklu „Niezdrowa miłość". Następnie objaśnił prelegent, że są to wstępne rozdziały książki świeżo przez niego ukończonej, a poświęconej opisowi i krytyce zboczeń erotyzmu w życiu i literaturze. Potrąciwszy we wstępie o wspomnienie literackie, związane z tym przedmiotem, p. K. mówił o rozmaitem pojmowaniu miłości, streszczał poglądy Schopenhauer'a, Hartmanna i niektórych nowszych psychologów, a między nimi Wł. Dawida. Potem szkicowo przedstawił wartość dzieł Stendhal'a, Michelet'a, i Bourget'a poświęconych miłości.

W drugiej części prelegent zajął się wykazaniem fatalnego wpływu manii erotycznej na charaktery, rozwinął jej analizę psychologiczną, przytaczał przykłady dziejowe i opowiedział szereg faktów, zaobserwowanych z życia. Opierając się na podstawach naukowych, p. K. nadaje swym szkicom formę fejletonowej pogawędki — i jak sam twierdził — ma na oku głównie życiowe i etyczne znaczenie tej pracy.

„Szkic" p. Kotarbińskiego obudził wśród słuchaczy głębokie zajęcie i jak się dowiadujemy, ma niebawem znacznie rozszerzony, pojawić się w druku.

* * *

— W czasopiśmie niemieckiem „Internationale Litteraturberichte" Nr. 18 z d. 3 września r. b.) znajdujemy obszerną ocenę działalności pisarskiej Stanisława Bełzy, pióra Henryka Nitschmana, w artykule p. t. „Aus Polens neuester Litteratur." Przytoczywszy daty biograficzne i zaznaczywszy stanowisko Bełzy w naszem piśmiennictwie, jako podróżopisarza, Nitschmana rozbiera kolejno „Odgłosy Szkocyi," „Podróż po Apeninach," „W górach Olbrzymich," „Hollandyę" i „Obrazy Korsyki" wszędzie wypowiadając o naszym autorze bardzo pochlebne zdania.

* * *

— „Münchener Neueste Nachrichten" (w Nr. 407 z r. b.) poświęcają obszerną wzmiankę zmarłemu niedawno znakomitemu historykowi naszemu Adolfowi Pawińskiemu, przytaczając główniejsze jego dzieła i zaznaczając, że w pracach swych historycznych dotykał często Pawiński dziejów pruskich, a w początkach swej działalności naukowej pisywał także po niemiecku.

* * *

— P. Bronisława Gutmanówna, warszawianka, ukończyła politechnikę w Zurichu na wydziale VI przyrodniczo-pedagogicznym, otrzymawszy po napisaniu rozprawy p. t. „Ueber die Mittel der Desinfection und ihre Prüfung" dyplom, oraz tytuł nauczycielki fachowej.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Teatr i muzyka.** W bieżącym tygodniu odbywały się w teatrze naszym próby z najnowszej komedyi Bałuckiego p. t. „Sprawa kobiet" pod osobistym kierunkiem p. Rygiera. Sztuka dziś po raz pierwszy ukaże się na scenie a wystąpią w niej najwybitniejsze siły teatru poznańskiego. — Arcybiskup paryzki wznowił dawny zakaz, niedopuszczający, by kobiety w kościele popisywały się w partyach solowych, powód do tegoż dały głośne oklaski, któremi niedawno obdarzono w kościele jedną z śpiewaczek operowych. — Nowa opera jednoaktowa „Razzia" Van Dammego doznała życzliwego przyjęcia w Gandawie. — W Fermo we Włoszech obadziła zajęcie dwuaktowa opera Romota Bacchini „Wanda". — 1000 przedstawień z rzędu osiągnęła „Ciotka Karola" w teatrze „Globe" w Londynie, czyli innemi słowami od trzech lat dzień w dzień grają tam tę farsę Brandona, która ongiś odrzucona przez wszystkie teatra londyńskie. dziś przyniosła już autorowi kilka milionów franków majątku, a właścicielom teatru conajmniej dwa razy tyle, nieliczac aktorów, którzy w ten sposób na trzy lata mieli zapewniony byt. W większości bowiem teatrów londyńskich panuje dość osobliwy zwyczaj co do angażowania aktorów. W Londynie jak w ogóle także we wszystkich prowincyonalnych angielskich teatrach angażuje się nie na rok, miesiąc, lub jakiś przeciąg czasu w ogóle, lecz tylko dla pewnej roli w pewnej sztuce. Jeśli się rzecz podoba, to aktor zyskuje łatwy zarobek na lata całe, jak na to wskazuje przykład „Ciotki Karola"; w razie zaś „klapy" wyrzucają go na bruk i to bardzo często w dosłownem znaczeniu...

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Studentka in spe. Odczyt pani dr. Daszyńskiej, wygłoszony na kongresie berlińskim, ukaże się w druku w lwowskim dwutygodniku „Ster". Pani dr. Krajewska zamierza powtórzyć odczyt swój w Krakowie. O zamiarach trzeciej prelegentki polskiej nic nam nie wiadomo.

— **Romuald.** Z nadesłanego utworu skorzystać nie możemy. Wiersz jest dosyć gładki, lecz obrazowanie i rymowanie pospolite, a miejscami rażą stylowe i gramatyczne niedokładności.

— **P. R.** 1) O sprawie tej kursują tysiące wersyi po mieście, lecz są one bądź to zupełnie fałszywe, bądź też mieszczą zaledwie odrobinę prawdy. Na razie żadna decyzya jeszcze nie zapadła, lubo za kulisami toczy się nader żywa wymiana zdań. 2) W sprawie nowego przedsiębiorstwa na razie zachować musimy zupełne milczenie.

— **Marya Z.** Zakładu żadna z pań nie wygrała, bo obie macie słuszność. Plotka o znalezionych w odziedziczonej tece rękopisach i wydaniu ich pod własnem nazwiskiem kursowała zarówno o Kaczkowskim jako Rzewuskim. Legendy takie pojawiają się w każdej literaturze. U nas podobny zarzut uczyniono także niegdyś autorowi „Kirgiza".

OD ADMINISTRACYI.

*** Od 1-go października r. b. znajduje się Administracya i Ekspedycya pisma naszego na Podgórnej ul. Nr. 7 w podwórzu.**

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winlewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28